

## Wojciech Stanisławski: Światełko dla najświatlejszego

Niewiele jest rzeczy bardziej niegodnych, jak drwina z bezsilnych i pokonanych, imperatyw „ride victis” w miejsce „vae victis”. Określenie podobnego działania mianem wielkoduszności czy otwartości jest powtórzeniem tamtej drwiny, jej iteracją, niczym rytmiczne kołysanie podkutego buta, kopiającego piszczel aresztanta w furgonetce – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Październik miesiącem przecen na znicze, ciepłych myśli o czapce, zorganizowanych refleksji funeralnych. Dziennikarze zaczynają przygotowywać materiał do rubryki „W tym roku odeszli od nas”, swoje kandydatury podsyła dział sportu, kultury, kraj i zagranica. Znajdzie się tam pewnie – wysoko chronologicznie, nisko alfabetycznie – i ta śmierć z pierwszych dni miesiąca.

Pisząc o niej, myślę o nieuchronnie dwoistej naturze żałoby i pogrzebów, która od lat nie przestaje mnie wyprowadzać z równowagi. Najpoważniejsza z możliwych ceremonia, najpoważniejsza i w tym sensie, że oznacza ostateczne rozstanie ze względami tego świata, oczyszczenie z wszelkich możliwych konwencji, wyzwolenie zmarłego od doczesnych trosk, ambicji, przywiązań, słabości – pozostaje zarazem dogłębnie, nieuchronnie ziemską i między-ludzka. Owszem, mniej może uwagi niż przed wiekiem zwraca się na dobór kapeluszy i woalek, trumna zmierza zwykle do grobu demokratycznym meleksem, nie

srebrno-czarnym karawanem, w którym liczba zaprzężonych karych koni pozwalałaby sądzić o statusie społecznym – ale taki sam jest tłum żałobników, taksujących spojrzeniami siebie nawzajem i przyniesione kwiaty, wymieniających ukłony i uwagi w duchu, którego nikt nie oddał celniej niż Szymborska. *„ty jedna byłaś mądra, że wzięłaś parasol” / „cóż z tego, że był najzdolniejszy z nich” / „pokój przechodni, Baśka się nie zgodzi” / „owszem, miał rację, ale to jeszcze nie powód”.*

Spora część żałobników zabiera głos, by podsumować zasługi zmarłego, podkreślić rolę, jaką odegrał w tym świecie, ale też – wpisać go w swoją opowieść, uczynić zeń uzasadnienie dla własnych wyborów, ukazać go w roli kamienia węgielnego, przęśla mostu. Nieliczni czynią to na pogrzebie, walcząc z chrypą i mikrofonem; większość wygłasza swoją opinię za pośrednictwem mediów społecznościowych czy, nadal mających się dobrze nekrologów.

Po śmierci Jerzego Urbana w mediach społecznościowych i w prasie zawrzało. Postać trochę już w cieniu i mimo swej ogromnej skłonności do prowokacji – przewidywalna, nagle stała się przedmiotem debaty i ten wielogłos wymyka się zasadzie *de mortuis nil nisi bene*, bo jest świadectwem dzisiejszych napięć i podziałów pamięci.

Oczywiście, kombatanci recytowali rymowanki i wyzwiska lat 80., komuś nie szkoda było nawet czasu, by wrzucić do sieci zdjęcia pożółkłych kartek wielkanocnych „Poczty Solidarności”, ozdobionych karykaturami generała i rzecznika. Specjaliści od korzeni (wielu jest w Polsce takich ryjków) przypominali „prawdziwe brzmienie nazwiska”, specjaliści od publicznego demonstrowania wielkoduszności podkreślali, że należałoby modlić się za zbawienie każdej duszy – co

oczywiście jest prawdą, tyle, że może lepiej to czynić w swojej izdebce niż na swoim profilu. Po raz ostatni może odżyła zmurszała i zagipsowana pamięć stanu wojennego.

*Po śmierci Jerzego Urbana w mediach społecznościowych i w prasie zawrzało. Postać trochę już w cieniu i mimo swej ogromnej skłonności do prowokacji – przewidywalna, nagle stała się przedmiotem debaty*

Liczne grono subtelnie niuansowało, podkreślając biegłość pióra zmarłego, że niby – nabroił trochę, ale talent miał wielki, drugi Genet po prostu. Takie niuansowanie pozwala upiec dwie

pieczenie na jednym ogniu (rzecz zawsze kusząca dla osób dorastających w epoce kartek na mięso), to znaczy można pokazać się zarazem jako kombatant oraz smakosz literatury, który jest się w stanie wznieść ponad własne przywiązania. Znać w takim eulogium pewne wyczucie proporcji, którego zabrakło bardziej upolitycznionym komentatorom, zestawiających w jednym zdaniu przywary Goebbelsa, zmarłego oraz nie lubianych urzędników obecnej TVP, co było nie tyle obraźliwe, co absurdalne, niczym zestawianie planety, kuli armatniej i kulki jarzębiny.

Wszyscy, poza najbardziej prostolinijnymi, wystrzegali się „mowy nienawiści”. Liczne grono uczniów, których doczekał się zmarły, podejmowało próby *pranków* z udziałem jego imienia – wychwalając umiar rzecznika, jego zasługi dla demokratyzacji kraju, otwartość na

oponentów politycznych w dniach Okrągłego Stołu. Jest rzeczywiście w takim ujmowaniu sprawy wierność metodzie Jerzego Urbana, nawiązanie do praktyki *trickstera*, który przekracza granice, prowadząc obserwatorów przez osłupienie w stronę gniewu – pytanie tylko, czy jest to najlepszy sposób okazania wdzięczności zmarłemu, uczynienie zeń narzędzia generowania złych emocji.

Bo przecież wiadomo, że takie emocje wybuchną, niewiele jest rzeczy bardziej niegodnych, jak drwina z bezsilnych i pokonanych, imperatyw *ride victis* w miejsce *vae victis*. Określenie podobnego działania mianem wielkoduszności czy otwartości jest powtórzeniem tamtej drwiny, jej iteracją, niczym rytmiczne kołysanie podkutego buta, kapiącego piszczel aresztanta w furgonetce. Niech jednak z generowania podobnych emocji tłumaczą się prof. Hartman czy, czemuś anonimowe, grono „współpracowników z Biura Prasowego Rządu”, podpisane pod jednym z nekrologów. Mnie zdołał zaskoczyć chyba tylko jeden głos – ten, w którym zmarłego określono mianem „jednego z najświetlejszych umysłów w Polsce”.

„Światły umysł”. Takie określenie wskazuje na zasługi wyższego rzędu niż dokonania naukowe, przenikliwość filozofa czy odpowiedzialność męża stanu. Światłym umysłem włada, jak się wydaje, ktoś, kto łączy głęboką mądrość nie tylko z troską o dobro publiczne (to potrafi byle książe!), lecz z umiejętnością zadbania o nie, wytyczenia sposobów na jego budowanie również w trudnych czasach. Ktoś, kto jest budowniczym Arki: ciesiołka, szkutnictwo, *pietas*, znajomość wszelkiego stworzenia i umiejętność planowania w jednym. A, i jeszcze nawigacja. Kiedy pada określenie „światły umysł” myślę – czy ja wiem? – Staszic. Mianowski. Narutowicz. Maria Skłodowska. Róża Czacka. Ciekawe byłoby zresztą spytanie różnych osób o wskazanie polskich

światłych umysłów, na jednej liście więcej głosów zebrałby Karol Wojtyła, na drugiej Tadeusz Kotarbiński lub Leszek Kołakowski; co do mnie, uradowałbym się z obecności całej trójki w takim panteonie.

Myśl, by wprowadzić doń Jerzego Urbana, pojawiła się pod piórem Olgi Lipińskiej. Dotąd miałem ją za wybitną przedstawicielkę formacji emancypantek z klubowym w palcach, które, osiągnąwszy w swojej branży niemało swadą, talentem i pewnością osobistą, zajęły się kształtowaniem gustów nowoczesnego mieszczaństwa z wysokości ilustrowanych tygodników dla pań. Określenie Jerzego Urbana mianem „światłego umysłu” skłania, by poprosić panią Olgę o napisanie nowej, rewolucyjnie zaprzeczającej wszelkim ustaleniom historii Oświecenia i edukacji w Polsce – albo uznać ją za jedną z najbardziej utalentowanych wychowanic zmarłego.

*Wojciech Stanisławski*